Nr. 5. Warszawa, dnia 17 (29) Stycznia 1873 roku. ROK IX. Seryja 3-cia.

OPIEKUN DOMOWY

PISMO TYGODNIOWE

SPRAWOM WYCHOWANIA RZECZOM SPOŁECZNYM LITERATURZE I SZTUKOM PIĘKNYM POŚWIĘCONE.

CENA PRENUMERATY
łącznie z 12-tu tomami bezpłatnego dodatku:

w Warszawie z odnoszeniem do domu:		na prowincyi w Cesarstwie i Królest.:	
rocznie	rs. 3 kop. 60	rocznie	rs. 5
półrocznie	rs. 1 „ 80	półrocznie	„ 2 kop. 50
kwartalnie	„ 90	w Austryi rocznie	9 guldenów
miesięcznie	„ 30	w Prusach „	5 talarów

REDAKCYJA PRZY ULICY NOWY-ŚWIAT NR. 30 (NOWY).

Opiekun Domowy wychodzi raz na tydzień co Środa.

Skład Główny dla pp. Księgarzy w *Warszawie* w Redakcyi przy ulicy Nowy Świat Nr. 30 nowy; w *Poznaniu* u Czapińskiego, (daw. księg Rychtera); we *Lwowie* u Wilda Karola; w *Żytomierzu* u Budkiewicza księgarza; *w Krakowie* w księgarni A. Nowoleckiego.

Numer pojedyńczy kop. 10.

JESZCZE W KWESTYI PRACY. [1]

Czytałem i odczytywałem kilka razy z zajęciem artykuł pod tytułem „W kwestyi pracy," w N. 45 zamieszczony. Pan T. T. Jeż, autor tego artykułu bardzo ważnego, bo ludzkość obchodzącego, malowniczo rzecz całą przedstawił; szkoda tylko, że nie wypowiedział wszystkiego co myśli i czego po jego zdolnościach i nauce spodziewać się można było. Dlatego wystąpienie jego uważać tylko można za wstęp do dalszej w tym samym kierunku pracy będącej na dobie; spełnienie czego zaspokoić może słuszną ciekawość myślących czytelników Waszego pisma. Inaczej, dla niewtajemniczonych w tę sprawę, pozostaje ono literą martwą — bez praktycznego zastosowania w życiu człowieka. Ponieważ chciałem zrozumieć i pojąć wszystko, co w treściwej pracy Jeża znalazłem, natrafiłem na wątpliwości, z któremi postanowiłem się z czytelnikami Opiekuna Domowego podzielić i tym sposobem nakłonić autora do otwartego wytłomaczenia się z prawd, zanadto ogółowo przez niego wygłoszonych.

Najważniejszy ustęp w pracy p. Jeża brzmi jak następuje:

„Praca stanęła w nieprzyjaznym do kapi-„tału stosunku. Sąto dwa wrogi, niemogący „się obejść jeden bez drugiego, związane z so-„bą niby bracia Syjamscy i nastawiający się „jeden do drugiego z iskrami gniewu wście-„kłego w oczach, ze słowami nienawiści na „ustach, z zaciętemi pięściami."

Porównanie to jest z gruntu prawdziwe, postaramy się nawet, podług naszego sposobu widzenia, bliżej je wyjaśnić.

We wszystkich zakładach fabrycznych, praca przemysłowa odbywa się zapomocą dwu ściśle z sobą połączonych czynników. Z jednej strony są narzędzia, przyrządy i materyjały nieodzowne w każdej produkcyi, z drugiej robotnicy uzdolnieni, którzy używając umiejętnie tych narzędzi, przyrządów i naczyń, czyli nadając im życie, tworzą wspólnie z niemi rozmaite wyroby. Są więc robotnicy *martwi* inaczej *sztuczni*, że się tak wyrażę, i robotnicy *żywi*. Piérwsi należą do fabrykantów, którzy są zarazem kapitalistami, drudzy do siebie samych i swojej najbliższej rodziny. Antagonizm wykazany przez Jeża między kapitałem i pracą, redukuje się ostatecznie do antagonizmu między temi dwoma rodzajami robotników, których wzajemne dziś praktykowane położenie wypada zbadać, aby mieć jakiekolwiek pojęcie w tej kwestyi palącej, na rozwiązanie której milijony z niecierpliwością oczekują.

Zobaczmy, jak ci robotnicy są obecnie wynagradzani. Piérwsi [2]) otrzymują zwykle za swoję pracę: 1) zwrot wyłożonych kosztów na wprawienie ich w ruch, na utrzymanie ich zawsze w dobrym i do użycia zdatnym stanie, a prócz tego dolicza stę pewien procent np. 6% od ich wartości piérwotnej—i to razem wzięte odpowiada zarobkowi z pracy robotników kategoryi drugiej. 2) Z ceny otrzymanej za wyroby strąca się dla nich pewien odsetek na umorzenie całkowitej ich piérwiastkowej wartości, która tym sposobem umarza się pospolicie w lat 10. 3) Mają oni jeszcze udział w czystych zyskach z całego przedsiębierstwa. Drudzy zaś, t. j. robotnicy żywi, prócz zarobku z pracy, który ledwie wystarcza na ich z najbliższą rodziną utrzymanie, nic więcej nie pobierają. Tu więc jest rażąca niesprawiedliwość i w niej trzeba

[1]) Tym chętniej dajemy miejsce niniejszej pogadance, nadesłanej nam przez jednego z prenumeratorów, iż jest ona, o ile sądzić możemy—odbiciem przekonań wielu spomiędzy naszych czytelników, a tym samym podaje nam sposobność wspólnej wymiany myśli w kwestyi, do której ze względu na jej ważność i niewyczerpaną żywotność nie raz jeszcze powrócić będziem musieli. *(Przyp Red.)*

[2]) Zwracamy uwagę, że, jak tu tak i poniżej, autor wciąż pod nazwą robotników *sztucznych* personifikuje kapitał (narzędzia, maszyny, materyjały i t. p.) dla tym do kładniejszego zestawienia go z robotnikami właściwemi czyli pracą. (*P. R.*)

ŚLADY ŻYCIA.

III.

Tyle życia, ile.... w czynie.

Dwie dobre wiadomości mamy dziś dla czytelników naszych. Pierwsza dotyczy popularnych prelekcyj dla rzemieślników, na które Władza raczyła udzielić pozwolenie Redakcyjom: *Opiekuna Domowego* i *Gazety Przemysłowo Rzemieślniczej*—druga zaś równie pomyślna w sprawie niejednokrotnie przez nas poruszanej: otworzenia w Warszawie *gimnazyjum prywatnego*, na równych prawach z gimnazyjami rządowemi. Wskutek zezwolenia Władzy, pierwsze takie gimnazyjum, otwiera z początkiem przyszłego roku szkolnego p. J. Górski b. Inspektor szkół. Nie potrzebujemy dodawać jak dalece ważnemi są dla nas obie wiadomości. Wielki już czas pomyśleć o oświacie naszych rzemieślników; mamy wskazówki że oni sami gorąco poprą nasze usiłowania—tak np. w liczbie nowych prenumeratorów przybyło nam wielu rzemieślników, a wszyscy oni serdecznie przyjęli projekt odczytów. Nie mniej też wielki był czas pomyśleć o całych setkach młodzieży, która z powodu przepełnienia gimnazyjów rządowych, napróżno poszukuje miejsca.

Tak więc, przejęci tą nadzieją, że przynajmniej część naszych projektów przejdzie w czyn—pomagajmy sobie jako kto może—a ludziom dobrej woli „*Szczęść Boże!*"

* * *

Szanowny Opiekuna Domowego Redaktorze.

Odpowiadając na wezwanie zamieszczone w N. 50 z dnia 11 z. m. mam zaszczyt oświadczyć: że istotnie uczciłoby się godnie wielkiego astronoma Kopernika, wykluczając najpiérwej z języka naszego błędne wyrażenie „słońce wschodzi, słońce zachodzi;" wątpię jednak czy to kiedy nastąpi dla braku u nas zgody szczególnej pomiędzy literatami—tym trudniej by to przyszło kując nowe jakie wyrażenie; poprostu lepiej zaniechać błędnego a zacząć używać innego praktykowanego i gotowego:

Słońce się ukazuje
Słońce znika

o godzinie tej a tej.

Damy również dowód poszanowania dla nauki, jeżeli powstawać będziemy na błędność niektórych przysłów ludowych pod względem przepowiedni pogody, jak np. w porze obecnej.

„*S-ta Barbara po lodzie,*
Boże Narodzenie po wodzie,

bo nawet ze stuletnich obserwacyi w Warszawie, takiej przeciętnej wyprowadzić nie można.

* * *

A teraz *Słówko w obronie kobiet...* taki bowiem tytuł nosi notatka, nadesłana nam przez jednę z naszych czytelniczek. „Narzekacie, powiada szanowna autorka, na spaczone wychowanie kobiet—a sami jesteście jego przyczyną"... (Wypada nam jednak zrobić uwagę, że autorka nie ma tu na myśli członków

szukać rozwiązania tej groźnej dla społeczeństwa kwestyi pracy.

Robotnicy sztuczni zużywają się w pewnym przeciągu czasu; słusznie więc aby z owoców ich pracy można było tyle osiągnąć, iżby się całkowita ich wartość piérwiastkowa w danym czasie odzyskała — z drugiej strony, robotnicy żywi zużywają się także, wprawdzie w dłuższym lat przeciągu niż piérwsi [3]) i stają się albo bardzo mało albo wcale do dalszej pracy niezdolni — więc i oni mają prawo do odzyskania tego, co utracili przez pracę ciężką i ciągłą.

Robotnicy sztuczni mają prócz tego znakomity z uszczerbkiem robotników żywych udział w czystych zyskach z przedsiębierstwa, które przyczyniają się nawet do nieustannego zwiększania ich wartości materyjalnej, od czego zupełnie odsunięci są robotnicy kategoryi drugiej. Że zaś wszystkie korzyści czerpane z robotników sztucznych przechodzą na fabrykantów (którzy są kapitalistami) z wyraźną krzywdą robotników żywych, stąd też właśnie wyrósł ów antagonizm, o którym wspomina Jeż. Trzeba więc przedewszystkim antagonizm ten usunąć; ale jak wziąć się do tego, to sęk. Powyższe moje zapatrywanie się na ten przedmiot nie jest utopiją, dowodem czego są usiłowania niektórych szlachetnie myślących fabrykantów we Francyi, dla których pomyślność ludzkości nie jest obojętną—którzy przypuścili swoich robotników do udziału w czystych zyskach. A że nic o tym nie zdarzyło mi się czytać, bo wiadomość tę otrzymałem z ust osób godnych wiary, przeto nie mogę szczegółowo przedstawić, jak ta sprawa między robotnikami a fabrykantami załatwia się. Wogóle przyznać musimy, że koniecznym jest należycie ustosunkowany i na ścisłej sprawiedliwości oparty udział w korzyściach z przedsiębierstw przemysłowych i handlowych wszystkich czynników produkcyi jakiemi są: właściciele zakładów, pod kierunkiem których przedsiębierstwo się prowadzi, za ich pracę i zabiegi—oraz robotnicy sztuczni i żywi. Taki udział może jedynie zapobiedz zbytecznemu nagromadzeniu kapitałów w jednym ręku z krzywdą innych, mających do niego jeżeli nie lepsze, to przynajmniej to samo prawo [4]).

Następujące ustępy cytowanego artykułu wymagają objaśnienia:

„Anormalność stosunku, zachodzącego pomiędzy kapitałem a pracą pochodzi stąd, „że mylne mamy pojęcie o celu pracy wy- „nurzającym się z jej znaczenia. Odnosi się on do ogółu, do społeczeństwa całego, my zaś bierzemy go w odniesieniu do indywiduum, do osoby pojedyńczej. „Pracuj, pracuj—wpajamy w młody umysł dziecka— zabezpieczysz sobie byt niepodległy, możesz zostać próżniakiem.”

„Celem pracy nie jest próżniactwo, nie jest zatym i to, co je sprowadza i zabezpiecza, nie jest gromadzenie potęgi jakiejkolwiek, czy to pod postacią kapitałów, czy inaczej w jednym ręku.”

„Praca jest kapitałem, tak! Kapitał rentować się powinien, prawda! niechże jednak renta nie będzie lichwą idącą na korzyść wyłączną próżniactwa. Dobrobyt dostatecznym jest wynagrodzeniem pracy najcięższej i ponad dobrobyt ambicyja niczyja, chociażby najlżejsza, wznosić się nie powinna.”

Jeż zaleca rodzicom i nauczycielom, aby wpajali w młodociane umysły przyszłego pokolenia pojęcie celu pracy, jako obowiązku obywatelskiego i społecznego. Aby jednak ci posłannictwo swoje mogli skutecznie spełnić, muszą przedewszystkim sami dobrze zrozumieć i pojąć, czego nauczać mają,—inaczej ich zabiegi i trudy do niczego dobrego nie doprowadzą — a wyznać jednak muszę, że pomimo szczerej chęci po przeczytaniu artykułu Jeża jeszcze nie mam jasnego wyobrażenia tej idealnej, nowej zupełnie definicyi celu pracy — brakuje tu licznych komentarzy, o które dla dobra nauki śmiem autora upraszać. Daleki jestem od wszelkiej krytyki, pragnę tylko się oświecić i przyswoić sobie prawdy przez niego głoszone i z drugiemi nimi się podzielić; lecz wyznać muszę że obecnie tego uczynić nie potrafię [5]).

W każdym kraju przemaga znakomita większość biednych, o nich więc przedewszystkim mówić mi wypada. Ubogi, jeżeli nie chce się spotkać z kodeksem kryminalnym i nie zamierzył żyć kosztem dobroczynności ogólnej, inaczej jałmużną—pod karą śmierci głodowej pracować musi, a przekonanie go o potrzebie i celu pracy nie przedstawia najmniejszej trudności. Nadto bardzo łatwo każdemu biedakowi dowieść: że na starość i przy różnym zbiegu nieprzyjaznych okoliczności, może być pozbawiony możności pracowania, a żyć trzeba. A zatym wypada zwracać jego uwagę od dzieciństwa nie tylko na potrzebę pracy, ale i na przezorność, inaczej na potrzebę oszczędzania części zarobku i gromadzenia go — aby się było z czego w przyszłości utrzymać o własnych siłach. Dla ubogiego więc celem pracy jest: nabycie środków utrzymania się przez całe życie, to jest i wtedy kiedy pracować może i wtedy kiedy będzie zmuszony próżnować. Praca i oszczędność dla ubogiego jest koniecznością; innego dla niego sposobu nie widzę, byleby za tę pracę swoję był należycie i sprawiedliwie wynagrodzony. Drugą war-

---

[3]) Niekiedy zużywają się w krótszym czasie. (*P. R.*)

[4]) Nie wiedząc, o których mianowicie francuskieh fabrykach mówi autor, nie możemy tutaj dać szczegółowych objaśnień,—to jednak zdaje nam się rzeczą pewną, że wyczekiwanie na filantropijne popędy kapitalistów nie rozwiązuje kwestyi. Jedyną jak na ten raz dźwignią dla eksploatowanych mogą być tylko stowarzyszenia. Czego potrzeba tym ludziom, aby swobodnie rozporządzali swą pracą?—kapitału. Jeśli go nie mają, potrzebują pożyczyć. Możność znalezienia pożyczki i dogodność jej warunków zależy od gwarancyj, jakie przedstawia żądający takowej. Robotnik nie przedstawia gwarancyi *rzeczowej*, bo nie posiada nic lub bardzo mało, nie może się także spodziewać kredytu osobistego, bo jest prawdopodobieństwo, że choroba, śmierć i t. p. nie pozwolą mu pracować, a wtedy wierzyciel narażonyby został na niechybną stratę kapitału. Każdy więc większy kapitalista cofnie się wobec takiego rezyka, zostanie się tylko lichwiarz, który pożyczką na bezmierny procent do reszty wyeksploatuje biednego robotnika.

Zupełnie inny rezultat daje stowarzyszenie. Setki lub tysiące robotników nie mogą naraz doznać pzzeszkody w pracy, jeśli więc odpowiadają solidarnie, bezwarunkowo znajdą kredyt, tym więcej, że pożyczając sobie wzajemnie drobne swe oszczędności, zwiększają masę czynną, a tym samym i gwarancyją dla kapitałów obcych. Kapitały te, stosunkowo dość znaczne i na rozmaite termina, mogą być zaciągane na dosyć tani procent. Zyskany tą droga majątek spółki, pozwoli jej w krótkim czasie mieć własne fabryki, składy i pracownie i to jest właśnie droga do rozwiązania kwestyi. Że rozumowanie takie nie jest utopiją, przekonać się możemy z rozpatrzenia bilansu stowarzyszeń zaliczkowych niemieckich, które podług wykazów, jakie mamy pod ręką, rozpoczynając swą działalność w roku 1853, miały w 1864 przeszło 12,750,000 talarów majątku. (*P. R.*)

[5]) Zdaniem naszym, Jeż miał tutaj na myśli te warstwy społeczne, które przestają pracować, aby jedynie za pomocą nagromadzonego kapitału wyzyskiwać pracę innych, nie rachując się bynajmniej z ogólno-humanitarnemi obowiązkami. (*F. R.*)

---

redakcyi Opiekuna, lecz cały ród męski). „Piszą i piszą piękne artykuły — mówi dalej nasza przeciwniczka — a nie pamiętają o tym, że setna część tych kobiet z którémi oni przestają, zaledwie je czyta, niepamiętają, że nie pismem należy poprawiać, ale czynem. I cóż z tego, że w artykułach ubóstwiają kobietę zacną, wykształconą, skromną, choćby wcale nieposiadającą wdzięków, gdy tymczasem w towarzystwie pierwszej lepszej, byle tylko *piękniejszej*, ulegają czarownym spojrzeniom i koralowym usteczkom...”

Tak tedy dostaliśmy patent na faryzeuszów! Przyjmujemy—ale nie lubiąc długów (kobiecych przynajmniej) oddajemy piękne za nadobne. Łaskawe panie! Narzekacie na obłudę mężczyzn—a same jesteście jej przyczyną. Rozprawiacie o bohaterskich poświęceniach i wielkich sprawach naukowych, a zapominacie o tym, że prawo życia i uznanie zdobywa się nie słowem, lecz czynem. I cóż nam z tego, że mówicie z zapałem o ludziach wyższego umysłu, o niezwykłych talentach, zasługach i cnotach wybranej cząstki męskiego rodu, skoro dla miłego grosza i jedwabnej sukni przenosicie tłustego bankiera, nad chudego literata. Nie mamy sobie nic do wyrzucenia...

* * *

Na zapytanie do kogo mianowicie odnosi się postawiony w zeszłym numerze (pod tą samą rubryką) zarzut przesadnéj i przedwczesnéj adoracyi, — odpowiadamy, iż mieliśmy na myśli pomieszczenie w tegorocznym kalendarzu Jaworskiego portretu panny Wojakowskiéj. Młoda ta i sympatyczna artystka zdaniem naszym zasługuje na serdeczną życzliwość i uznanie,—ale dla czegóż tak wcześnie zamieszczać ją na kalendarzowéj bibule między ludźmi, którzy już skończyli lub kończą karyjerę. P. W. może być nawet niezadowoloną z tych przedwczesnych hołdów. Co do nas wyznajemy otwarcie, że wolimy ją widzieć na deskach teatru, lub koncertowéj estradzie, aniżeli w towarzystwie Flammariona i Gervinusa, gdzie ją pomieścili niezręczni redaktorzy kalendarza.

* * *

Kalendarz—to książka rozchodząca się szeroko, należy więc być bardzo sumiennym przy jéj układzie. Pod tym względem za przykład dla warszawskich braci posłużyć może *Rocznik* wydany w Piotrkowie przez p. Antoniego Porębskiego. Kilka poważnych prac literackich znalazło tu pomieszczenie. Wyliczymy je: „Kościół i klasztor Franciszkański w Piotrkowie” monografija uczciwie opracowana i dobrym napisana językiem przez ks. Z. Chodyńskiego. „Hijeronim Bużeński podskarbi wielki koronny” życiorys również dobrze opracowany przez p. A. J. Parczewskiego, którego tok językowy zdaje nam się przypominać p. J. Bartoszewicza, szkoda tylko—że młody bijograf za daleko poszedł za swym mistrzem i zdradza niekiedy jakby pewne uprzedzenia do wszystkiego, co się łączy z religijną reformacyją. „Jan Długosz jako zbieracz podań ludowych szkic do rozprawy” skreślił E. Swieżawski. Autor obiecuje nam rozwinąć ten rzeczywiście interesujący temat w obszerniejszéj pracy, na którą sądząc z niniejszéj próbki z niecierpliwością oczekujemy, idzie tu bowiem o zabytki naszéj etnograficznéj cywilizacyi. „Rachuba czasu u słowian przedchrześcijańskich” przez Fr. Tworkowskiego—rzecz krótka, lecz także gruntowna i zajmująca. Z kolei następuje najobszerniejsza praca Romana Plenkiewicza p. t. „Z wycieczki w Tatry wschodnie” o niéj we właściwym czasie powiemy jeszcze pod oddzielną rubryką. W końcu prócz kilku artykułów drobniejszych także treści naukowéj — znajdujemy dokładną statystykę Piotrkowa dokonaną umiejętnie przez p. J. W. Kańskiego. Nie możemy pominąć, iż w właściwéj części kalendarzowéj na drugiéj stronnicy każdego miesiąca mieszczą się piękne, z obywatelskim

stwę wszystkich społeczeństw stanowią bogaci i zamożni; ci rozpadają się na dwie kategoryje. Do piérwszej należą tacy, którzy z małych początków przez własną i usilną pracę i zabiegi trwające całe życie dobili się majątku i nie ustając w tej pracy życia dokonali — takich przykładów można bardzo wiele naliczyć. Celem ich pracy, było nie tylko utrzymanie się w dobrym bycie, ale i oszczędność tego, co im od zaspokojenia wszystkich potrzeb zwyczajnych zbywało. Tym sposobem nagromadzili kapitał, niekiedy kolosalny, a nie można ich przecie nazwać próżniakami, jeżeli kapitał ten uformował się bez krzywdy pojedyńczych indywiduów i całego społeczeństwa, wśród którego bogacz pracownik żył. Piérwszorzędne firmy przemysłowe i handlowe z masami nagromadzonych w ich ręku kapitałów przechodzą zwykle z ojca na syna i są przedmiotem ciągłej pracy np. Borsig w Berlinie (ojciec) z niczego doszedł do ogromnego majątku, pracował aż do samej śmierci; syn jego objął po nim rozległe zakłady fabryczne i w dalszym ciągu pracuje i dojdzie niezawodnie do większego niż jego ojciec mienia, a jednak próżniakiem nazwać go nie można.

Bogacze drugiej kategoryi sąto posiadacze majątków bez pracy nabytych: przez sukcesyje, darowizny, gry hazardowne, loteryją i t. p. losowe wypadki — i tacy słusznie, jeżeli się pracą pożyteczną nie zajmują, są pasożytami i próżniakami, o jakich Jeż wspomina [6]).

Aby renta od kapitałów, będących skutkiem pracy, przestała być lichwą idącą wyłącznie na korzyść próżniactwa, trzeba koniecznie postarać się o to, aby rolnicy, rzemieślnicy, właściciele dóbr małych i wielkich, fabrykanci, kupcy, magnaci, bankierowie i t. p., słowem wszyscy bez wyjątku zajmujący się wytworem bogactw narodowych, posiadali drogą pracy, oszczędności i uczciwych zabiegów, swój własny kapitał zakładowy i obrotowy i to w ilości dostatecznej stosownie do zamierzonego przez nich przedsiębierstwa.

Wynagrodzeniem pracy najcięższej ma być dobrobyt, ponad dobrobyt najlżejsza ambicyja wznieść się nie powinna.

Co to jest właściwie ten dobrobyt, czy go zarówno i jednakowo wszyscy ludzie pojmują i czy dobrobyt (z natury swej nieudeterminowany) rozwiązuje dostatecznie zadanie, o którym mowa? — wątpię [7]).

Prenumerator Opiekuna.

[6]) Podział majątków, odpowiednio do źródła ich nabycia, zaprowadziłby nas zadaleko, sięga on bowiem aż do dna historycznie wyrobionych stosunków. Ponad niemi w imię ogólnego bezpieczeństwa i porządku stoi prawo przedawnienia,—a nowe stosunki ekonomiczne układać się muszą drogą ogólnej i na ścisłych obliczeniach opartej, zsolidaryzowanej pracy. (*P. R.*)

[7]) Powołując się na wyżej przez nas przytoczone zasady i rozumowania, dodać musimy, jako uzupełnienie odpowiedzi, że w kwestyi o której mowa, ani Jeż, ani żadna redakcyja nie może wyrzec biblijnego „stań się.” Myśmy wszyscy tylko mniej lub więcej zdolni bojownicy. Pracujmy, oświecajmy się, siejmy —wierząc, że przyjdzie czas żniwa. (*P. R.*)

HRABINA ELODYJA.

Powieść

Maryi Szeligi.

(*Ciąg dalszy*).

Djola nagłym ruchem ścisnęła swoje małe pięście i rzekła z ożywieniem:

— Odeślij go poprostu do Warszawy!

— Tak mi radzisz? spytał podejrzliwie hrabia.

— Naturalnie! niech jedzie!—sam mówisz że nie podobna mu określić stanowiska! Przytym nie!... niech sobie jedzie!... powtórzyła z zaciętością Elodyja—a w oczach obok postanowienia błyszczały łzy.

— Skądże ci taki kaprys?

— Chwaliłaś go dopiero?.... wtrąciła sąsiadka.

— Ja mu nic nie zarzucam, ale lepiej żeby powrócił niż żeby go źle traktowano, wyjęknęła Djola. A przytym—ja go nie cierpię!

— Ty? za co?

— Elodyja ma pełno kaprysów, ale powinnabyś pamiętać, że równą śmiesznością jest nienawidzić swego biblijotekarza jak kochać swego lokaja!—rzekł zimno Władysław. Jednak nie mogę go odesłać i robić mu zawodu, tak się z ludźmi biednemi nie godzi postępować? nieprawdaż sąsiadko?

— Mais oui!—odrzekła z uśmiechem.

— Muszę więc go zostawić! A nawet zrobię pewną ofiarę na rzecz nowych idei, i będę dobrze uważał młodego zapaleńca—trzeba być wspaniałym, piękna sąsiadko!

— Ależ spodziewałam się tego hrabio!... a dowód tej wspaniałomyślności, że go zaprosisz dziś na herbatę!

— Oh! tego nie zrobię!

— Czemu?

— Bo straciłbym na tym wiele. Albo zająłby swą rozmową panią, której każde słówko i wejrzenie zbyt wiele mi sprawia przyjemności abym się go pozbawiał—lub bawiłby moję żonę, czego nie lubię! — rzekł z cynizmem hrabia.

— Ah, fi donc! —zawołała Lucyna niby oburzona.

— Wszyscy wołają o szczerość i prostotę w wyrażeniach, ja powtórzyłem tylko myśl moję głośno! Nie gniewaj się pani!—bądźmy swobodni! Oto pyszne owoce i smaczne konfitury d'un goût délicieux! Racz je pani skosztować.

I hrabia Władysław z miną zadowolnioną zaczął jeść przyniesione słodycze, z łakomstwem i roskoszą sybaryty. W przestankach opierał się o miękkie krzesło i patrzył w oczy pięknej sąsiadki, lub na milczącą Djolę, jak człowiek bliski zupełnego nasycenia, któremu nic nie brakuje. Błogą, leniwa radość malowała się na jego twarzy. Był w tej chwili brzydki i pospolity. Elodyja z wstretem odwróciła sie od niego, gdy ustami pełnemi konfitur, chciał ją pocałować.

— Ah! jakiż on stary i niemiły!—pomyślała pani Lucyna ze zdziwieniem, lecz spełniwszy ładny kubeczek malagi—nie zauważyła już tego i śmiała się równie roskosznie z swobodnych jego dowcipów, dowcipów jakiemi dawał dowód swego niezwykle dobrego humoru. Później przyjechał Fredzio i męczył Elodyją frazesami pełnemi przesady i głupoty pokrytej przecież salonową manijerą. Gładząc arystokratycznie białą chudą ręką żółte bakembardy, cedził przez zęby komplementa, o które jednak Władysław nie był zazdrosnym. Około północy, pożegnano się w najlepszym dla siebie usposobieniu, i państwo Fredziowie, każde swoim ekwipażem, powrócili do domu. Pani Lucyna śpieszyła się wrócić wcześniej, gdyż jej mała córeczka Tocia, zasłabła mocno i właśnie dziś miał być kryzys choroby, ale wyborna bona,

poczuciem wybrane zdania z naszych pisarzów—zdania które ognistemi głoskami wyryć się powinny w umyśle i sercu każdego. Szczerze życzymy Rocznikowi jak najlepszego powodzenia; p. Porębski i jego współpracownicy dobrze się zasługują naszemu bieżącemu piśmiennictwu.

* * *

Pięćdziesięciotomowe wydawnictwo redakcyi *Przeglądu Tygodniowego*, prowadzi się z niezwykłą energiją. Dotychczas wyszły trzy tomy: Lubbocka: *Początki cywilizacyi ludzkiej*, tom I, w przekładzie pp. *B.* i *Z.*; Dixona *Szwajcaryja i Szwajcarowie*, tom I, w przekładzie p. *Józefa Kotarbińskiego* i Vacherot'a *Wiedza i sumienie*, w przekładzie p. *Zofii Grabowskiej*. Pierwsza z tych książek, pomimo swej specyjalności, będzie bardzo poczytną, zawiera bowiem wiele ciekawych szczegółów z życia plemion dzikich, jasno i treściwie opowiedzianych. Przekładowi pod względem naukowym nie można nic zarzucić, ale język w wielu miejscach niepoprawny. Tłomacz nie weźmie nam za złe, jeśli zwrócimy jego uwagę na błędne użycie spójnika *jak* zamiast *niż*, *a* zamiast *ale*, słowa *obserwować* w znaczeniu *zachowywać* (np. str. 79, 108) i wiele innych galicyzmów, np. *niepodobna* wlać życia w kopię, *jak tylko* kosztem oryginału (str. 25, także 97 i in.), *uwieść przez siłę* (par force) zamiast *siłą* (str. 112), *cenę jaką żądają* zamiast *jakiej żądają*. *Jestto zwyczaj analogiczny temu*, zamiast *podobny do tego*; *między obojga płcią*, zamiast *między obu płciami*. *Kobiety pewne sprawy czyniły lepiej niż mężczyźni*, zamiast *dokonywały pewnych czynności* i t. d. Te i tym podobne usterki dadzą się jednak usunąć w następnych tomach. O wiele poprawniejszym, a nawet bardzo starannym jest przekład p. Kotarbińskiego, choć pełne erudycyi opisy Dixona mniej żywo rysują się w umyśle czytającego, aniżeli plastyczne obrazy Taine'a w jego notatkach o Anglii (wydanych także nakładem *Przeglądu Tygodniowego*). Trzecia książka znanego metafizyka Vacherot'a, przedstawiała dla tłomacza znaczne trudności. Należy przyznać, że p. Grabowska pokonała je szczęśliwie. Przekład jej posiada wiele zalet, zwrócimy tylko uwagę na błędne a dosyć często powtarzane użycie wyrazu *sumienie*, zamiast *świadomość* (conscience), zwłaszcza w ustępach gdzie mowa o spostrzeganiu wewnętrznym.

Przy tak pospiesznym wydawnictwie, wiele usterek wkraść się może, nie zmniejsza to jednak w niczym zasługi pana Wiślickiego, który wypracowaniem śmiałego projektu i energicznym prowadzeniem wydawnictwa, zasłużył sobie na uznanie ogółu. Jeżeli liczba przedpłacicieli dosięgnie 3,000, o czym wątpić niepodobna, w takim razie 150,000 egzemplarzy pożytecznych książek rozejdzie się po kraju. Mamy nadzieję, że wydawnictwo pana Wiślickiego przekona ostatecznie innych wydawców, że znacznym obniżeniem ceny książek można zaszczytnie (i podwójnie) służyć krajowi i sobie.

* * *

Komisyja Rządowa Sprawiedliwości powzięła myśl otworzenia u siebie *bezpłatnej czytelni* dla urzędników sądowych, który to projekt najdalej za miesiąc ma być urzeczywistnionym. Wiadomo, że przy rzeczonej Komisyi znajduje się dość obszerna biblijoteka, głównie z dzieł prawnych złożona, pomiędzy któremi są niektóre bardzo cenne i rzadkie. Nadto znajdują się tutaj wszystkie lepsze prawne peryjodyczne wydawnictwa, tak francuskie jakoteż i niemieckie. Biblijoteka ta dotychczas mało przynosiła usługi. Wprawdzie wszystkim urzędnikom sądowym mieszkającym w Warszawie, służyło prawo korzystania z dzieł i pism w biblijotece znajdujących się, jednak bardzo trafny i dobry ten przepis w rezultacie okazał się niepraktycznym. Dzieła bowiem i pisma są tutaj w pojedynczych egzemplarzach, jeżeli więc który

paryżanka rodowita, czuwa nad nią, więc pewno jej jest lepiej.

Po odejściu gości, Władysław mimo swego humoru ożywionego wesołą ucztą, rzekł jeszcze raz do Djoli:

— Pamiętaj, że ci *nie wolno* jej naśladować!

Ona rzuciła nań wejrzenie milczącej pogardy i wyszła do swego pokoju, gdzie panna Bertel użyła całej wymowy aby ją skłonić do zakarbowania włosów i położenia się w łóżko. Biedna francuzka żaliła się potym przed Michelem, do którego jako współziomka miała pewną słabość, ale Michel odpowiedział równie wyraźną skargą na pana, zowiąc go niegrzecznie „ce vieux père", i przytym uśmiechnął się bardzo tajemniczo.

IX.

W pokoiku o białych firankach, na ulicy Czystej nic się nie zmieniło — kwiaty kwitły napełniając atmosferę czarowną wiosenną wonią.

Beata pracowała jak zawsze, tęskniąc do ukochanego, i snując marzenia na temat jego powrotu. W święta odwiedzała swoich ubogich, czytała, grała, lub siedziała przy łóżku biednego Felicyjana. Jedna tylko przykra okoliczność mąciła wzniosły pokój jej życia: —dwaj panowie, którzy ją wtedy tak grubijańsko zaczepili na ulicy, prześladowali ją ciągle, towarzysząc wszędzie, gdziekolwiek się udała; nie mogła przejść przez ulicę aby ich nie spotkać i nie odebrać wyzywającego ukłonu, wraz z kilkoma wyrazami, których zazwyczaj niesłyszała. Męczyło ją to niesłyszanie, bolało i drażniło, ale nie miała sposobu pozbycia się natrętów. Opieka uproszona przez Emanuela trwała ciągle, i prawie co dzień, któryś z poczciwych majsterków przychodził pytać się czy ich *królowa* czego nie potrzebuje, ale Beata nie chciała skarżyć się przed niemi, bo lękała się awantury gorszącej. Czekała cierpliwie i wejrzeniem karciła zuchwalców.

Pewnego dnia, dawano nową sztukę w teatrze. Beata—namiętna lubowniczka wszystkiego co piękne, usilną pracą uzbierała potrzebny fundusz na ten zbyteczny wydatek, i ubrawszy się ciemno a skromnie, w towarzystwie Janowej poszła na przedstawienie. Miały miejsce w krzesłach—piérwszy akt zajął bardzo, tłumnie zgromadzoną publiczność —huczne dano oklaski, i w czasie antraktu, robiono jak zwykle uwagi nad grą artystów —udzielając sobie wzajemnie swoich wrażeń. Beata, zajęta odgrywaną sztuką, nie spostrzegła że stała się przedmiotem natrętnej obserwacyi kilku młodych ludzi z piérwszych rzędów krzeseł, którzy dla rozmaitości, przechodzili się z binoklami na nosie. Między niemi znajdowali się i jej prześladowcy — ciekawy Gucio i obojętny Jerzy — obadwa śledzący Beatę ze szczególną uwagą i rozmawiający żywo choć pocichu. Trzy akta przeszły prędko—zasłona spadła. Beata pociągnęła za sobą rozczuloną Janową — i postąpiła ku wyjściu. Z trudnością przecisnęły się przez wschody—we drzwiach tłum je rozdzielił — ktoś porwał gwałtownie rękę Beaty, i nim ta zdołała się opamiętać, popchnięto ją w najciemniejszy zakątek przedsionku teatralnego. Obejrzała się z trwogą za swą towarzyszką— zrobiła wysiłek, aby się do niej zbliżyć— ale Janowa gdzieś znikła.. Beata zawołała raz i drugi półgłosem—nikt jej nie odpowiedział.

— Czy mogę pani być użytecznym?... spytał wtedy jekiś mężczyzna, którego rysów nie mogła rozeznać w ciemności.

— Dziękuję—odparła, oglądając się nieco wylękła.

— Pani czeka swej towarzyszki — przed chwilą weszła do cukierni—mówił dalej.

— To nie podobna! powiedziała mimowoli Beata z nieufnością.

— Ale tak jest — ktoś podobny z ubioru i postawy do pani wszedł do cukierni, i zapewne omylona podobieństwem, towarzyszka pani także tam podążyła.

Ten głos był pewny i śmiały — Beata wahała się jeszcze, ale nakoniec uwierzyła.

— Dziękuję!—wymówiła—i zwróciła się do drzwi wiodących do wskazanej cukierni.

— Pardonnez-moi mademoiselle —ale sama, młoda, nie możesz pani iść tutaj—proszę przyjąć moje ramię —pójdziemy razem pour cette recherche!

— Nie — dziękuję pójdę sama! — rzekła zmieszana i niepewna, co ma zrobić.

— Ależ proszę się zastanowić, czy moja propozycyja nie jest słuszną i sprawiedliwą! Cukiernia i towarzyszka pani znajdują się o dwa kroki.

— A więc..... zaczęła Beata.

— A więc nie wypada samej kobiecie de votre âge emancypować się do tego stopnia. Ayez un peu de confiance—donnez-moi votre petite main tremblante, mademoiselle Beata!

— Pan zna moje imię? — zawołała zdziwiona.

— Mais oui!—Chodźmy więc—służę pani! *Nieznajomy znajomy*, ujął jej rękę i poprowadził nieopierającą się, choć jeszcze niespokojną.

Tymczasem na drugim końcu przedsionka druga podobna scena miała miejsce. W niej bohaterką była Janowa.

— Młoda panienka, której—szanowna pani —szukacie spotkała się z jakąś panią, i przed chwilą poszła wraz z nią do domu — mówił do zapłakanej, młody mężczyzna tonem niedbałym.

— Ale czy to prawda?—pytała naiwnie, na pół przekonana.

— Jak najpewniejsza.

— Ale przecieżby mnie tak nie zostawiła?

— Szukała, wołała nawet —wszystko daremno!

— A ta pani jak wyglądała?...

— Hm! tak—niezbyt wysoka—dosyć młoda—w kapeluszu i sukni niebardzo jasnej.

— A! to pewnie pani profesorowa!

— Właśnie!—nawet słyszałem coś.... hm— tego—to ta sama!—mówił młody pan z całą pewnością.

— Ha! przecie widzi pan, że na nicby mu się nie przydało zwieść starą kobietę!

— A naturalnie! proszę być przekonaną, że nie mam względem niej złych zamiarów— nawet na dowód—proszę mi podać rękę—odprowadzę panią do domu!

— Ej! gdzie zaś—wrócę sama!

— Przyjemniej jest w nocy iść w towarzystwie—śpieszmy a dogonimy pannę Beatę!

— O! dla Boga! to nas pan zna!

— Wybornie!

— No, to chodźmy—bo tam moja biedna panienka głodna—ani dudu o herbacie.

— I mnie tęskno do kolacyi, na którą mię zaprosił mój przyjaciel — a więc chodźmy tedy!

I druga para ruszyła w przeciwną stronę— Janowa uspokojona zupełnie opowiadała przez drogę *różności* swemu grzecznemu kawalerowi—on zaś słuchał z całą uwagą i pytał nie-

---

z urzędników wziął coś do domu, zazwyczaj trzymał to długo, niekiedy nawet bardzo długo, na czym inni oczywiście tracili. Otóż Komissyja mając na względzie ogólną korzyść postanowiła na przyszłość znieść wydawanie książek i pism do domu, otwierając natomiast bezpłatną czytelnię. Na ten cel przeznaczoną została oddzielna sala, po odnowieniu i odpowiedniem urządzeniu której, zamierzony projekt zostanie wykonanym. Czytelnia ta będzie otwartą codziennie w godzinach wieczornych, mianowicie między godziną 5 a 9-tą. Ośmielamy się tylko zwrócić uwagę, że powiększenie ilości godzin, w ciągu których możnaby korzystać z czytelni, jest prawie nieodzownym. Zdaje nam się, że czytelnia powinna być otwartą przynajmniej między godziną 4 a 10-tą, aby mogła dobrze odpowiedzieć swojemu celowi.

* * *

Wysyłamy corocznie znaczną ilość zboża, a głównie pszenicy za granicę, tymczasem młyny nasze parowe wogóle źle stoją. Przed dwudziestu kilku laty młyny parowe stanowiły u nas bardzo dobrą i korzystną spekulacyją, to też za przykładem znakomitego w swoim czasie przedsiębiercy i przemysłowca Steinkielera, wzięto się gwałtownie do ich budowania, jakoż obecnie młynów parowych może mamy więcej, aniżeli potrzeby kraju naszego, t. j. istniejąca u nas konsumcyja mąki wymaga. Trzeba bowiem pamiętać, że oprócz parowych znajduje się w naszym kraju wielka ilość młynów wodnych i wiatraków. W obec takiego położenia rzeczy, nader pożądaną jest spółka znacznych kapitałów, któraby zakupowała zboże w wielkich ilościach i takowe dopiero pod postacią mąki posyłała zagranicę. Spółka taka mogłaby zapewnić i kapitalistom znaczne zyski i krajowi wielką korzyść. Młyny nasze parowe znakomicieby się ożywiły, pozostałby w kraju bardzo pożyteczny produkt, jakim są otręby, a korzyści z handlu mącznego mielibyśmy prawdopodobnie takież same, jakie dzisiaj otrzymujemy z handlu zbożowego. Właściciele młynów parowych powinni myśl tę popierać a nawet sami czynnie przykładać się do jej urzeczywistnienia.

* * *

Szanowny Panie!

Ciągle słyszymy, że społeczeństwo nasze wstąpiło na drogę postępu, że ruch obecnie rozbudzony coraz szersze warstwy będzie ogarniał i do zbawiennych musi doprowadzić skutków. Jak jednak wytłomaczyć obojętność naszego ogółu dla wielu objawów naukowego i społecznego rozwoju, pozostających często bez najmniejszego poparcia i pod moralnym i pod materyjalnym względem.

W takim położeniu znajduje się niewątpliwie niedawno założone Towarzystwo osad rolnych i przytułków rzemieślniczych. Zdaje się że postępowe, rozumne społeczeństwo powinno jaknajsilniej poprzeć radą i czynem tak zbawienny zamiar, a jak tu, jest to nawet nie tylko potrzebą, ale najświętszym obowiązkiem ogółu, dać możność poprawy tym których przestępstwa ciężą na niedbalstwie, niedołęstwie i wadach społeczności. Tymczasem Towarzystwo w kraju liczącym półszósta milijona ludności niemogło dotąd jeszcze zebrać funduszu na zakupienie gruntu. Obecnie znów Towarzystwo wzywa do zapisywania się na członków.

Jeszcze we Wrześniu r. z. będąc żywo zajęty tą sprawą, przesłałem do Kuryjera Warszawskiego mój wniosek co do zbierania funduszów na rzecz Towarzystwa ponieważ jednak żadne pismo nierozebrało go, pozwalam sobie obecnie niepokoić redakcyją „Opiekuna" w nadziei: że jeżeli mój wniosek będzie niewłaściwy, może przynajmniej pobudzi innych do zajęcia się tak ważną sprawą.

Zasób Towarzystwa składa się z opłat

kiedy o szczegóły dotyczące jej ulubionego tematu rozmowy—o drogiej swojej panience.

Beata i jej towarzysz weszli do Loursa — i naturalnie nie spotkali tam Janowej.

(*D. c. n.*)

CO MAJĄ CZYNIĆ SZKOŁY

ażeby wyrobić w młodzieży charakter samodzielny?

(wyjątek z dziełka niemieckiego pedagoga

D-ra Piltza.)

przekład Jadwigi O.

(Ciąg dalszy.)

Przechodzę do trzeciego punktu naszych uwag:

3) Samodzielność myśli i czynów, którą wszelkiemi sposobami obudzić staramy się, należy jeszcze wzmacniać i utrzymywać w młodzieży. Chcąc zaś wyrobić samodzielność trzeba się z gruntu pozbyć *mechaniczno-automatycznych metod* i zupełnie przeciwny kierunek nadać wychowaniu. Tego zdania są wszyscy mistrze pedagogiczni tak z przeszłości, jak z teraźniejszości; to stanowi godło złotemi literami wypisane na sztandarze człowieka, którego zgon wszyscy jeszcze opłakujemy [1]). Niezaprzeczenie jednak — pierwej dom powinien założyć pewny i silny fundament—zanim my budować zaczniemy. Tymczasem dom zapomina o tej zasadzie wielkiego pedagogicznego znaczenia, zawartej w słowach Tella, że: „Dobry strzelec sam sobie radzi“ — i coraz więcej dokłada starań; by dziecko do biernego *używania* przyzwyczaić. Obsługują wyrostków, dogadzają ich zachceniom; podają im wszystko gotowe; usuwają od nich wszelki trud i kłopot; nie dadzą im nawet pomyśleć, jak obejść się z zabawką; bawić się nawet za nich gotowi—i uczyć, jak ją wziąć mają do ręki... A to słabe biedactwo, powstrzymywane od wszelkiego dziecinnego czynu, wszystkiego się lęka, i rośnie wbrew zasadom *Curtmana* który mówi: „Wtedy dziecię staje się najroztropniejsze, kiedy samo sprobuje złego.“ [2]) Lecz—jakkolwiekby dom grzeszył i wcale nam nie dopomagał, to jednak naszym obowiązkiem pozostaje niezachwianie: rozbudzać i podniecać samodzielność. I jeżeli chcecie godnie spełnić posłannictwo wasze, to nie tamujcie—ale pobudzajcie. Nie narzucajcie uprzedzonego zdania, jak to zwykli nieraz czynić domowi nauczyciele; lecz pozwólcie wychowańcom waszym, pomęczyć się trochę samym, czy to nad zadaniem arytmetycznym, czyli też nad stylowym wypracowaniem i t. p. Nie dyktujcie, nie uczcie sami historyi powszechnej; lecz pozwólcie im wżyć się w dzieje; pozwólcie im przeczuwać i sądzić — a nawet wyrokować: jak się bieg świata urządzi—i dla czego tak się ma stać — a nie inaczej. Pozwólcie im i w kwestyjach rozwoju natury i w gieometryi, słowem, we wszystkim: robić uwagi i spostrzeżenia — wyciągać wnioski; sądować — i zgłębiać. A wtedy z pewnością otrząśnie się młodzież z owéj biernoty, podąży ku samodzielności — a to jej szczęście zapewni! Większa część błędów ludzkich, podług Benekego, w tym właśnie ma swoje źródło: że fałszywe spostrzeżenia, przedwczesne wnioski, i sądy innych, przyjmujemy za uzasadnione prawdy. I nas — to właśnie zaślepia i powstrzymuje, by podług życzenia plebana Rykiego, szkoły nasze na rzeczywiste szkoły myslenia zamienić.

Ależ na Boga! na cóż narażamy naszę młodzież? Wszak przeciwnicy nasi utrzymują: że tworzymy przemądrzałych zarozumialców i pyszałków, narzucających swoje zdanie, rezonujących—i krytykujących wszystkie stany! Urojenia—to tylko i nic więcéj. Kogóż to bowiem nazywamy przemądrzałym? Oto tego kto niéma rzeczywistego i zdrowego poglądu na życie. Kogo nazywamy pyszałkiem? Tego—kto wyrokuje o rzeczach, które tylko na wpół pojmuje i przelotnie rozważa. A któż to będzie wiecznie niezadowolonym, wiecznie krytykującym—potępiającym wszystko? jeśli nie ten kogo nie nauczono praktycznie myśleć—i stosunki towarzyskie we właściwym świetle pojmować. Od tych wszystkich błędów, uchronić nas może: trzeźwy i swobodny pogląd na rzeczy, pewne i zdrowe myślenie. Tylko ograniczony głupiec, dumnym jest i zarozumiałym; światły myśliciel wie dokładnie, gdzie są granice jego władzy—i odznacza się skromnością. Zawsze więc *samoistność* i *samodzielność* — będą tu hasłem! Bo choćbyśmy dziesięć lat wykładali komu sposoby pływania—póki w wodę nie wejdzie—z pewnością pływać się nie nauczy. A zatym—nie tylko dziecko ma słuchać wykładu: jak się list pisze, ale powinno samo nauczyć się go napisać. Nie dosyć wyrecytować zasady krasomówstwa, trzeba nauczyć się mówić. Niedość skupować zbiory potrzebne do nauki, trzeba samemu je zbierać i układać. Nie tylko dysputować o prawach i cnotach; lecz czynami prawemi, na wieniec z tychże zasłużyć. Znam wszakże szkoły, gdzie *samodzielność* w postępowaniu uczniów, wysoko jest cenioną. Tam dbają o to, ażeby każdy spełniał swój obowiązek; dbają o zachowanie urządzeń i przepisów; o dowiedzenie czynem miłości i współczucia względem drugich. Słowem—są to szkoły *czynu!* Skoro dojdziemy do tego, że wszystkie nasze zakłady naukowe, staną się szkołami *myśli* i *czynu;* że w wychowańcach swoich wyrabiać będą jasny i praktyczny pogląd na rzeczy, oraz chętną i wprawną do pracy rękę; — to wtedy niezawodnie umilkną skargi panów nauczycieli: że dzieci nigdy nic pojąć nie mogą. Z czasem — całe społeczeństwo stanie o własnych siłach — a szkołom — jako rozkrzewicielkom *samodzielności*—słuszną złoży podzięk̨ę.

Zastanówmy się teraz nad drugą kwestyją:

II) Co mają czynić szkoły, ażeby siły i ducha uczniów do czynów i energicznego działania usposobić?

„Życie człowieka—to jego czyny”, powiedział *Schnell*; w wybornym swym pisemku. A dziełem *pedagogiki* być powinno: nie tylko *myślący*—ale i bogaty w *czyny* naród wychować.

(*d. c. n.)*

[1]) Disterweg.

[2]) O tym łatwo możemy się przekonać. Wszak widzimy nieraz, jak mała dziecina wyciąga rączkę do świecy i ognia, jak napiera się noża i wszystkiego, co błyszczy. Próżne nasze perswazyje i zagrożenia; skoro tylko znajdzie sposobność — chwyta skwapliwie to, czego jej najbardziej wzbraniano; gdy wszakże zbliżymy raz paluszek tak blizko ognia, że mocne ciepło poczuje — lub lekkie ukłócie noża przekona ją, że mamy racyją tego jej wzbraniać, to niezawodnie sama już odtąd, z doświadczenia uznawać będzie: że ogień parzy — a nóż kaleczy, i sama przez się ostrożną stawać się zacznie. Tak dzieje się we wszystkim — i ze starszemi dziećmi... Doświadczenie—to mistrz najlepszy.” *Przyp. Tłom.*

---

wnoszonych przez członków. Opłata rs. 6 nie jest wcale wysoką, i obniżenie jej nie powiększyłoby liczby członków. Należy zatym myśleć o innym źródle dochodów.

Czyby więc Szanowna Redakcyja nie raczyła podnieść przy sposobności projektu, który jak wspomniałem drukowałem już był poprzednio w Kuryjerze Warszawskim?

Student Wszechnicy.

P. S. Załączam kop. 15 na rzecz Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzem. i kop. 15 na rzecz stypendyjum „Opiekuna”.

* * *

U p. Syrewicza, naszego rzeźbiarza, zamówiony został przez Dwór Petersburgski biust Dyjanny, z marmuru kanaryjskiego. Biust ten w tych dniach został wykończony.

* * *

Ks. J. Polkowski, autor premijowanego życiorysu Kopernika, otrzymaną przez siebie nagrodę w kwocie 500 tal. obrócił na druk trzytomowego dzieła, w którym ogłoszone będzie to wszystko, co się do naszego astronoma odnosi.

* * *

W Nr. 15 *Kur. Codzien.* podniesioną została myśl, aby zarządy dróg żelaznych w naszym kraju, dla przyjężdżających na święta uczniów petersburgskiego technicznego instytutu, zniżyły o czwartą część cenę biletów przejazdowych, jak to robią zarządy rossyjskich dróg żelaznych. Prawda, że i uczniowie tutejszych zakładów naukowych mogliby się upomnieć o podobne ulgi dla siebie, wątpimy jednak, aby zarząd kolei żelaznych uwzględnił to kiedykolwiek i dlatego popieramy myśl wyrażoną w *Kur. Codziennym* aby *przynajmniej* dla tych, którzy przybywają z tak daleka, porobione z ostały ulgi praktykowane gdzieindziej.

* * *

Dla przestrogi ogółu, szczególniéj zaś rodziców zezwalających uczącym się dzieciom bawić się lub używać kolorowego piasku do zasypywania atramentu, przytaczamy opisany w gazecie „St. Petersb. Wiedomosti” wypadek otrucia takim piaskiem. „Doktór Hübner zakomunikował, że Urzędowi Lekarskiemu z Petersburga przedstawiony został do analizy piasek koloru zielonego z oświadczeniem, że jest podejrzenie o znajdywaniu się w nim materyi trującéj, gdyż dziecko, które się bawiło tym piaskiem, *nagle zachorowało z objawami otrucia*. Analiza chemiczna przekonała, że piasek ten zawierał znaczną ilość *arszeniku i miedzi*, z czego okazuje się że takowy był zafarbowany arsenianem miedzi.

Piasek dostarczony do Urzędu Lekarskiego, był jasno-zielonego koloru, z domieszką złocistego błyszczu, w niewielkiéj flaszce w jakich zwykle bywa sprzedawany w składach materyjałów piśmiennych. W ogólności zaś, jako dowód nadużycia w technice z arsenianem miedzi może posłużyć okoliczność, że w ciągu upłynego roku, podług zaświadczeń osób prywatnych, tę trującą farbę niejednokrotnie znajdowano w następujących przedmiotach w papierze kolorowym, w kloszu od ogniska gazowego, w tkaninach i w polewie garnka zielonego.”

Na powyższy wypadek zwracamy również uwagę wszystkich panów właścicieli składów materyjałów piśmiennych, aby unikając odpowiedzialności moralnéj nawet, nie zaopatrywali swych składów w piasek zielony, a jeżeli takowy posiadają—zechcieli go zniszczyć, nie narażając dla zbyt małego zysku, życia ludzkiego na niebezpieczeństwo.

Już to wogóle ze wszelkiemi rzeczami koloru zielonego trzeba się obchodzić nadzwyczaj ostrożnie.

O MECHANICZNYM SPOSOBIE UCZENIA DZIECI. *)

Jeśli przy nabywaniu jakiéj nauki musimy użyć pracy pamięciowéj, lepiéj jest niezawodnie kiedy rozumiemy dobrze to, czego się uczymy, niż kiedy sposobem papuzim przyswajamy sobie wyrazy i zdania nie zrozumiałe—jest to prawda powszechnie uznana, któréj przeczyć nie myślę, a którą spotykałam nieraz i w niektórych pedagogicznych artykułach Opiekuna. Wątpię jednak dotychczas, czy ta prawda da się w zupełności zastosować do uczenia małych dzieci. Kto wié czy nie lepiéj dla nich, aby jakiś czas były tylko sroczkami, machinkami przygotowującemi sobie prawie bezwiednie materyjały do myślenia na przyszłość, podczas gdy ich władza myślenia powoli i stopniowo przez samę naukę życia przysposobi się do korzystania z tych materyjałów [1]). Wiadomo każdemu, co się tém zajmował, jak przy wychowaniu dzieci ważną jest rzeczą pamiętać o tym aby dziecię nie rozwijało się jednostronnie, aby z rozwinięciem umysłu nie cierpiało zdrowie, z rozszerzeniem zakresu wiadomości nie traciła się uwaga i przytomność umysłu [2]). Dziś, kiedy wymagania wieku są tak wielkie, koniecznie musimy zaczynać uczyć dzieci dość wcześnie; nietylko uczyć nawet, ale i przyzwyczajać je potrochu do pracy i codziennego zajmowania się nauką; bo i przeciw uczeniu sposobem *zabawy* nie jeden już i słuszny zarzut słyszeć się daje [3]). Chociażbyśmy te dzieci przeznaczali do jakiéj specyjalności, to wszakże uznaną już dziś jest rzeczą, że nauki wogóle są solidarne, że nawet znajomość historyi np. nie może być dokładną, jeśli się nie gruntuje na znajomości wielu nauk przyrodzonych i społecznych. Taki więc ogrom nauki widząc przed naszemi dziećmi, musimy zaczynać wcześnie, oswajać dzieci przynajmniéj z nazwiskami przedmiotów, które zczasem będą zajmować głębszą ich uwagę [4]). Wiadomo, że pamięć u dzieci daleko łatwiéj się rozwija niż rozwaga; dlaczegoż z niéj nie korzystać [1])? Czyż zechcemy w szóstym, siódmym roku przymuszać ich do zastanawiania się nad głębokiemi wynikami wiekowéj pracy ludzkości [2])? Czy to jest tak dalece szkodliwym wyuczyć ich mechanicznie działań arytmetycznych, nim z czasem pojmą dowcipny układ liczenia [3])? Czemu nie mogą umieć na pamięć deklinacyi i konjugacyi, co ich bawi, a stosunkowo bardzo mało męczy, nim pojmą głęboką analizę myśli ludzkiéj, słowem wyrażanej [4]). Podobnież w gieografii, w historyi, w każdéj prawie nauce: piérwéj pamięciowa, mechaniczna praca, późniéj dopiéro głębsza rozwaga i że tak się wyrażę, filozofija nauki — taki sposób, zdaje mi się, jest najpraktyczniejszy [5]). Matki tylko wiedzą, ile kosztuje dzieci zastanawianie się nad myślą, do zrozumienia któréj jeszcze ich wiek i następstwo wyobrażeń nie doprowadziły [1]); daremne są nieraz rozmaite ułatwiania i porównania do ich pojęć zastosowane, — jestto zawsze myślenie przymusowe i dość spojrzeć na tę pracę umysłu usiłującego zrozumieć, malującą się na czole dziecka, kiedy mu się tłomaczy coś trudniejszego, aby uznać, że takie usiłowania często powtarzane, nie mogą być bez szkody dla jego strony fizycznéj. Nie są też bez szkody i dla rozwinięcia umysłu—bo dziecię zmęczone przestaje nareszcie uważać, myśli o czym innym, słucha z roztargnieniem i coraz więcéj traci przytomność umysłu tak potrzebną w życiu i w nauce [2]). Zdaje mi się, że korzystanie z pamięci dziecinnéj nie jest też przeszkodą do rozwijania jednocześnie władzy obserwacyi, zwracając uwagę dzieci na niektóre fenomena natury, przypatrując się razem z niemi życiu zwierząt i roślin, co znowu toruje drogę do nauk przyrodzonych [3]).

Myśli te podało mi tak doświadczenie praktyczne z dziećmi, jak również często słyszane szyderskie wspomnienia dawnego sposobu uczenia, kiedy kilka lat piérwszych w domu i w szkołach, uczniowie *klepali* tylko na pamięć mało zrozumiałe dla siebie rzeczy i ledwie późniéj dochodzili do poznania tego, czego się uczyli bez myśli. Znałam nawet starych ludzi tym sposobem uczonych, którzy, sami przywodząc dawne wspomnienia, śmiali się ze swoich papuzich nauk i podziwiali udoskonalenie teraźniejszych metod—a jednak ich własny rozum, rzadka przytomność i logiczność pomimo wieku były żywym zaprzeczeniem tego co twierdzili. Czy to były zdolności wyjątkowe, któresię rozwinęły *pomimo* złéj metody uczenia? Czy ogół ludzi dawnych i źle uczonych tak dalece odróżniał się tępością. brakiem rozgarnienia i przytomności umysłu od dzisiejszego pokolenia lepiéj uczonego? Nie zdaje mi się— i gdyby to głębiéj wyśledzić i dowodami poprzeć, nie okazałoby się pewnie wiele stosunkowéj wyższości po dzisiejszéj stronie. Mówię *stosunkowéj*, bo chociaż dziś niejeden uczeń ma wiadomości, których Newton lub Kopernik nie domyślali się jeszcze, — wszak to nie znaczy, że umysł jego jest na wyższym stopniu rozwinięcia niż umysły tych znako-

*) Nie dzieląc przekonań wyrażonych w nadesłanym nam artykule, zamieszczamy go jednak ze względu na jasne wyrażenie dosyć jeszcze często dających się słyszeć opinij, a załączając w odnośnikach własne nasze uwagi sądzimy, że z takiego krytycznego zestawienia zdań, tak szanowna nasza przeciwniczka jak i ogół czytelników, pewne mogące się nastręczyć wątpliwości z łatwością rozwiąże.

[1]) To tylko najgorsze, że raz, zostawszy sroczkami i machinkami, przyzwyczają się do téj roli; przyuczywszy się powtarzać na pamięć to czego nie rozumieją, nie łatwo odwykną od téj wady nawet po *jakimś czasie*.

[2]) Ten ostatni argument mógłby być powołanym właśnie przez przeciwników mechanicznego nauczania, co się zaś tyczy uwagi na zdrowie, to także niepodobna zaprzeczyć, że mechaniczne wyuczanie z książki, zmuszając do dłuższego pozostawania w jednostajnéj, a częstokroć nużącéj pozycyi, już tym samym źle oddziaływa na zdrowie.

[3]) Na takie zarzuty i my się zgadzamy — dzieci które się wciąż uczą tylko sposobem zabawy, dochodzą wprawdzie do pewnego umysłowego rozwinięcia, umieją niby to i owo, ale *niedokładnie;* wyrobienie woli i wytrwałości w pracy leży wtedy odłogiem.

[4]) Rzecz powinna poprzedzać nazwisko, jakkolwiek nie potrzebuje dziecko znać jéj wyczerpująco. Jeżeli np. dziecko zna kurę i konia, można już z nim mówić o zwierzętach *czworonożnych* i *ptakach*, mimo iż systematyczny wykład zoologii zostanie się napóźniéj.

[1]) To nie argument. Wszakże wiadomo, że zdolność używania rąk i nóg rozwija się jeszcze wcześniéj, dlaczegoż jednak nie kształcimy dzieci wyłącznie na akrobatów? kształcimy to, co jest *przedewszystkim* potrzebne.

[2]) Broń Boże! ale nie idzie zatym, żeby dziecko miało mechanicznie z katechizmu X. Putiatyckiego *odkuwać* odpowiedź na pytanie: na czym zależy szczęście człowieka? albo z geografii Ansarta „o długości i szerokości gieograficznéj." Rzeczy te należy bezwarunkowo zostawić napóźniéj. Rezultat będzie ten, że gdy dziecko kształcone mechanicznie będzie w dziewiątym roku umiało *napozór* więcéj — towarzysze *napozór* zacofani przy wykształceniu rozwagi prześcigną je między rokiem 9 a 12. Właśnie to przedwczesnemu mechanicznemu chwytaniu pojęć zatrudnych możemy zawdzięczyć, że w każdéj 5-éj klassie połowa uczniów nierozumie np. wyżéj przykładowo przytoczonéj „długości i szerokości gieograficznéj" i t. p.

[3]) Oponujemy stanowczo. W artymetyce mechanizm jest najszkodliwszym i prowadzi do najsmutniejszych rezultatów. Aby się o tym przekonać, dość jest wejść na pierwszą lepszą pensyją żeńską. Panienka która się już uczyła historyi, słyszała coś o literaturze, mówi paru językami, a nawet z arytmetyki przechodzi podług planu teoryją *reguły łańcuchowéj* (i za rok będzie w salonie uważana za *inteligentną*), zapytana np. wiele to jest piętnasta część złotego? bardzo często waha się w odpowiedzi. Na pytanie trudniejsze, np. za 27 łokci płacę rs. 81 kop. 50, wiele zapłacę za 5 łokci? nie odpowie większa połowa klas. Jest to fakt, a objaśnia się tym, że właśnie dziewczynki najczęściéj się uczą początkowéj arytmetyki mechanicznie. Z chłopcami trochę lepiéj, a dlaczego? Dlatego, że już od 1-éj klasy fachowy nauczyciel *odrabiał* to złe, jakie z domu przynieśli.

[4]) Deklinacyi i konjugacyi można zacząć uczyć dosyć wcześnie, czyż jednak między *pojęciem głębokiéj analizy* myśli ludzkiéj, a czysto mechanicznym paplaniem: brat, brata, bratu i t. d. nie ma żadnego środka? Bynajmniéj. Oto sposób. Opowiada się dziecku np. znaną powiastkę o Stasiu, który dał jabłko babci na imieniny? Do kogo mama mówiła żeby poszedł do babci? Komu mama dała jabłko na śniadanie? Kogo mama posłała do babuni? Jakbyśmy wołali na Stasia? Z kim szedł stary sługa do babuni? O kim mówiliśmy? Po takich rozmowach dziecko nawet siedmioletnie zrozumie do pewnego stopnia znaczenie przypadkowania.

[5]) Przy uczeniu gieografii większość najbłędniejszego trzyma się systematu, poczynając dedukcyjnie przez pytania idące od ogółu do szczegółu—a mianowicie: Co to jest gieografija? Jaki kształt ma ziemia, jak się dzieli? i t. d. Cóż dopiéro jeśli każą dziecku wyuczać się na pamięć o zwrotniku *Raka* i *Koziorożca!* Jaka to zoologiczna fantazyja tworzy się wtedy w młodéj główce! I po co to wszystko, kiedy można postępować wprost przeciwnie drogą indukcyjną, a mianowicie: gdzie mieszkamy? którędy się idzie do lasu, a którędy do kościoła? Jaka wieś leży za lasem? Czy daléj są jeszcze inne wsie lub miasta? Znaczenie mapy należy objaśnić na planie szkoły lub domu mieszkalnego, daléj na planie wioski i znanéj dzieciom okolicy, pokazać dwa plany jednakowe, a różnéj wielkości i stąd wyciągnąć wniosek o podobieństwie figur. Gdy dziecko tą drogą zrozumie znaczenie mapy, wtedy już połowa zadania skończona, wtedy po przejściu od wioski i miasta do okolicy, następnie kraju i *złożonéj z wielu krajów* części świata, a w końcu kuli ziemskiéj—wtedy powtarzamy raz jeszcze, *po zrozumieniu mapy* i objaśnieniu kształtów ziemi (na pobliskiéj rzece lub chociażby na pozostałéj po deszczu kałuży), bezpieczniéj już można kłaść w główkę dziecka wszelkie Madagaskary i Dardanele. Uczeń idąc tą drogą z początku postępuje niby wolniéj, ale nie ma obawy — niezadługo przegoni innych. Piszący te uwagi prócz metodycznéj teoryi gruntuje je odnośnie do gieografii na własnéj dwunastoletniéj nauczycielskiéj praktyce. Przy historyi po opowiedzeniu wypadków sposobem przystępnéj pogadanki, można i należy wymagać wyuczenia się nazwisk, a jeśli dziecko ma już pojęcie o czasie, to i dat główniejszych. Będzie to materyjał na przyszłość.

[1]) Czyż pani sądzi, że można bezkarnie przekraczać następstwo wyobrażeń?

[2]) Jedyna rada: nie tłomaczyć rzeczy jeszcze *zbyt trudnych*, nie przeskakiwać właśnie następstwa wyobrażeń.

[3]) Na to zgadzamy się w zupełności, ale niech tylko tego uczą się na pamięć, o czym już mają pojęcie. Dla *ćwiczenia* pamięci mogą się uczyć deklamacyi. Między bajeczkami Jachowicza jest wiele przystępnych nawet dla pięcioletnich dzieci.

mitych ludzi. [1]) Zdaje mi się więc, że odrzucając co w przeszłości było wadliwym, poprawiając co było niedostatecznym, nie powinniśmy jednak, póki nie wypróbujemy nowych napozór lepszych sposobów, okrywać szyderstwem dawnych; bo nowe sposoby mogą mieć także swoje złe strony, a doświadczenie nieraz pokazało, że i w naukach i w życiu, wracano do dawnych przekonań piérwéj wyśmianych, a które należało tylko poprawić, aby się stały prawdziwie użytecznemi. [2])

F. K.

KAULBACH, MATEJKO I DORÉ.

(NOTATKA ARTYSTYCZNA.)

(Dokończenie).

Drugim z kolei kompozytorem przezemnie zacytowanym jest Matejko. Zakres jaki sobie obrał ten artysta jest o wiele mniejszy. Gdy Kaulbach bada falowanie idei zbiorowych oddziaływających na świat cały:—Matejko je rozdrabia i podnosi te tylko, które styczność mają z jego krajem. O ile Kaulbach jest kosmopolitycznym, o ile stoi na szczeblu widza filozofa, badacza mądrego ale zimnego; o tyle Matejko jest narodowym — Kaulbach jest illustratorem dziejów powszechnych — Matejko historyi polskiej.

Gdy mówiąc o Kaulbachu zastanawialiśmy się nad jego pracami, nie braliśmy pod rozbiór wszystkich jego kompozycyj. Na ocenę taką nie stałoby tomów całych. Wzięliśmy jeden cykl najbardziej charakteryzujący tego mistrza; cykl, w którym przedstawił historyją rozwoju ludzkości.

Tak samo postąpię i z Matejką. Choć co do liczby kompozycyj (znanych ogółowi) nie wyrównywa poprzedniemu, stworzył ich jednak dość i to rozmaitych, raz oderwanych, fragmentowych, to znowu napiętnowanych wielką myślą moralną. W każdym obrazie starał się scharakteryzować pewną epokę lub przekonania epoki. Historyją Polski wziął za tło do swoich kompozycyj i w nich ujawnia nie błahe, nic nieznaczące fakta, ale sceny kulminacyjne, wysokiej doniosłości.

Działalność tego gienijalnego artysty jest w samym zenicie; ostatnie słowo jeszcze nie wymówione, wyczerpującego więc określenia jego twórczości jeszcze nie można przedstawić. Kilka większych prac znanych ogółowi dają się jednak krytycznie rozebrać. Będę więc się starał przedstawić je nie jako utwory malarskie, ale jako kompozycyje z punktu społeczno-filozoficznego.

Stanowisko Matejki jako malarza jest już jasno określone. W technice, rysunku, kolorycie żadnemu zarzutowi nie podlega. Przyznali mu to nawet sędziowie zagraniczni. W tym kierunku Matejko ciągle idzie dalej drogą postępu;—brak powietrznej perspektywy, rażący w pierwszych jego obrazach, zaczyna ustępować.

Mistrz ten nim przystąpił do tworzenia obrazów i nim wyrobił sobie stanowisko tak znakomite na jakim teraz się znajduje, sumiennie badał historyją której ilustrowaniu życie swe poświęcić zamierzał. Badania te są widoczne w umiejętnym zebraniu kostiumów z danej epoki, w odnalezieniu portretów historycznych osób, w ciągłych wyszukiwaniach materyjałów i szczegółów potrzebnych. Ale są one stokroć widoczniejszemi w duchowej stronie każdego obrazu Matejki w doskonałym pojęciu ducha epoki. W kompozycyjach mistrza krakowskiego widnieje uplastycznienie pewnej mysli przewodniej rządzącej w chwili obranej—narodem.

Czyż można np. lepiej scharakteryzować czasy Zygmunta Wazy jak to uczynił Matejko w „Kazaniu Skargi?"

Matejko w przytoczonym obrazie głębiej się zastanowił nad epoką a wybrawszy Piotra Skargę za przedstawiciela, kazał mu moralizować króla i naród. Zygmunt III manijak, Szwed zadumany, panowie na których znać doskonale uczucia w głębi ich grające, otoczyli księdza jezuitę i kornie się przed nim kłaniają. A i królewicz później w historyi pod nazwą Władysława IV zapisany, słucha z uwagą, jakby już przeczuwał, ile straci w przyszłości wskutek namów ojca i O. O. jezuitów. Epokę tę Matejko pojął i przedstawił w tej jednej chwili mogącej być odbiciem całego panowania Zygmunta. Piotr Skarga dominuje w kompozycyi. Nuncyjusz papieski i prymas krakowski, znajdują się na pierwszym planie—na drugim król; panowie i dostojnicy państwa zajmują resztę miejsca. W samym tym nawet rozkładzie figur przebija się wielka myśl filozoficzna.

Złoty wiek naszej historyi mistrz uplastycznił w olbrzymim swym obrazie „Unija." Nie usunął on już na bok króla; Zygmunta Augusta umieścił na środku, postać jego widnieje z daleka i jest osią akcyi.

Figury Matejki nie są to nic niemówiące postaci, służące dla zapełnienia miejsc kompozycyi; każda z nich ma duszę, osobno wzięta może służyć za studyjum typu, charakteru; myśl zawsze panuje w tych przez niego wygrzebanych z kart historyi—postaciach.

Jednym słowem Matejko potrafił objąć cały obszar lat przebiegu naszej historyi, a wybierając fakta najwięcej mające na nią wpływu utworzył epos malarskie jakiego dotąd nie mieliśmy. W każden swój obraz wlał tyle miłości, tyle rozwagi badawczego spostrzegacza, że takiemi ilustracyjami swej przeszłości nie wszystkie narody pochwalić się mogą.

Z kolei, jakąśmy sobie zakreślili, przystępujemy do scharakteryzowania działalności Gustawa Doré'go.

Pole tego znakomitego kompozytora jest zupełnie różnym od dwu poprzednich. Ołówek i biały gwasz, oto środki któremi dochodzi do genijalnych rezultatów.

Niemówiąc o własnościach technicznych Gustawa Doré'go stawiających go niżej od Kaulbacha i Matejki, niemówiąc o rysunku akademickim, który nie zawsze jest doskonałym — zastanowimy się nad nim jako nad twórcą—kompozytorem.

A twórcą on niepoślednim. Mistrzem jest w układaniu grup większych, w schwyceniu i oddaniu najdramatyczniejszych chwil, w światłocieniu i nareszcie w wybitności typów przedstawionych. Żywioł też liryczny ma w nim znakomitego przedstawiciela. Tym większą talent jego ma wartość, że płodów swej fantazyi nie przelewa w olbrzymie Kaulbachowskie kartony, w równie wielkie obrazy Matejki, ale w kilkunasto calowych rysunki, wywierające jednak silne wrażenie.

Doré'go można nazwać ilustratorem gienijuszów. Gdy Kaulbach z siebie wysnuwa kompozycyje do historyi ludzkości się odnoszące: gdy Matejko kraj swój własny przedstawiać zamierza i wskrzesza z ubiegłej przeszłości, chwile smutku i wesela, Doré o jeden szczebel stanął niżej, zgłębił arcydzieła literatur europejskich i z nich wybrawszy płody gienijuszów, postanowił je uwydatnić w znakomitych rysunkach.

Któż nie zna porywającej Dantego fantazyi; jego Boskiej komedyi? Któż nie unosił się z nim razem za przewodnictwem Wirgilijusza i Beatryczy w jasne stropy niebios lub nie zagłębiał się w ciemnice dna piekielnego? Każdy czytając ten utwór pełen niewysłowionego uroku, w miarę wyrobionej fantazyi uzmysławiał sobie w wyobraźni sceny w nim opisane. Każdy jednak truchlał przed olbrzymim zakresem Dantejskiej komedyi i często imaginacyją, nawet najbardziej wykształconą i artystycznie wyrobioną, nie mógł w swym umyśle przedstawić tego, co w czytaniu tak go zachwycało.

Znalazł się jednak człowiek, który wziąwszy tylko ołówek w rękę postanowił naprzeciw Boskiej komedyi postawić jej urzeczywistnienie, słowo zakląć w formy zmysłowe. Doré uilustrował utwór Allighierego.

Przepatrując tę masę kompozycyj, jakiemi uwydatnił znakomitsze ustępy nieba, czyśca i piekła, trzeba się zastanowić nad głębokością fantazyi artysty. Zacząwszy od najliczniejszej grupy, do pojedyńczych postaci, od czarnego zgęstniałego powietrza piekieł i czarnych skał piekielnych do jasnych eterycznych chórów anielskich; wszystko w tej całej olbrzymiej kolekcyi takie wielkie, takie majestatyczne, tak do duszy przemawiać się zdaje, że mimowolnie na myśl przychodzi, iż to nie rysunki do opisu, ale opis do rysunków jest zrobionym. Mają w sobie wiele piętna indywidualnego. Szczególnie piekło odznacza się dosadnością i fantastycznością kompozycyi.

Dalej księgi Starego i Nowego testamentu, ilustrowaniu których wszyscy najznakomitsi tak średniowieczni jak i nowocześni malarze poświęcili swą wiedzę i talent,—Gustaw Doré ozdobił kilkuset rysunkami. Tutaj zadanie miał cokolwiek różne od poprzedniego: zamiast czysto fantastycznych, urojonych postaci i miejscowości — musiał nastroić się do poważnego stylu religijnego. Wyznać trzeba że nie zawsze pod tym względem dorównywał zadaniu. W kompozycyjach do nowego testamentu zrobionych nie znać tej ascetycznej powagi Schnorra von Kartsfelda tej boskości widniejącej w postaciach Raphaela. Stary zato Testament dający większe pole do rozwinięcia bujnej fantastycznej wyobraźni Dorégo jest równym ciągiem znakomitych kompozycyj, niekiedy olbrzymich pod względem wywołanego bardzo małym kosztem wrażenia.

A ów Don Kiszot nigdy nie starzejący się płód wyobraźni Cervantesa, ileż nastręczył znakomitych momentów dla rozwinięcia się talentu Dorégo w innym jeszcze kierunku!

---

[1]) Co do téj kwestyi, to zdaje się, iż będziemy z sobą w zgodzie, przyjmując: 1. że właśnie powiększanie się materyjałów wiedzy wymaga ulepszonych metod do przyswojenia jéj sobie, 2. że jakkolwiek i dawniéj byli ludzie potężnego umysłu, dziś jednak ogólny poziom wykształcenia powinien stać wyżéj, jeśli zaś w niektórych miejscowościach zdarza się inaczéj, to nie jest wypływem metodyki, lecz właśnie pochodzi z jéj braku, albo też z innych warunków otoczenia, bo nie należy zapominać, że nietylko szkoła, ale i życie uczy. Ci starzy ludzie rozumni, przytomni i logiczni, o których autorka mówi są albo od natury tęższym obdarzeni umysłem albo też i to częściéj, rozwinęli swe duchowe przymioty nie w szkole, lecz na obszerniejszéj arenie praktycznego życia. Niech bezstronnie porównają swój rok ośmnasty z takim samym wiekiem swych wnuków (byleby tylko kształconych podług rzeczywiście uczciwéj i postępowéj metody), a niezawodnie przewaga będzie po stronie wnuków.

[2]) W zasadzie zgadzamy się na to twierdzenie najzupełniéj; pytanie tylko, czy nie różnimy się w pojmowaniu szczegółów? Otóż naszym zdaniem pomiędzy nowemi metodami jest już wiele *wypróbowanéj* i niewątpliwéj wartości. W powyższych odnośnikach mieliśmy sposobność zaledwie w sposób bardzo luźny zarysować owe metody. Trudno nam było w kilku zdaniach zdać sprawę z tego, o czem całe tomy zapisano, nie wątpimy jednak, że sumienni pedagodzy, a do takich panią F. K., sądząc z jéj listu, śmiało zaliczyć możemy, potrafią znaleść wskazówki w specyjalnych metodycznych dziełach. Z naszéj strony wszelkie pod tym względem informacyje jak najchętniéj udzielimy.

(Przypiski Redakcyi.)

W ilustracyjach do Boskiej komedyi, artysta ten kładł głównie nacisk na efekt, dramatyczność i fantastyczność kompozycyj; w starym i nowym testamencie chciał być majestatycznym i poważnym, w Don Kiszocie przybrał styl zgadzający się z utworem Cervantesa — styl komiczny. Styl t n utrzymany jest od początku do końca, nie wpadając nigdy, ani w zbytnią powagę, ani w karykaturę. Sama postać Don Kiszota, którego gdy ujrzymy z książką w ręku otoczonego marami swoich chorobliwych widzeń i przeprowadzimy przez rozmaite chwile pełne werwy i komizmu, aż do łoża, z którego już powstać nie może, sama ta postać tak jest charakterystyczną (od początku aż do końca) że jakby żywcem wyszła z zakurzonych kart średniowiecznej kroniki. Każdy kto czytał zbiór jego przygód, innym go nie mógł przedstawić.

Cóż mówić o tych tysiącznych ilustracyjach Dorégo do bajek Lafontaine'a, Perraulta, do poezyj Tennysona, do opisu Londynu i t. d. W nich wszystkich w wielkich i mniejszych zawsze znaleść można tę iskierkę talentu Dorégo, która potrafi martwe głazy niemal w żywe istoty przemienia.

W tym kierunku w jakim Doré teraz pracuje, nie było dotąd żadnego równego może artysty. On rodzaj ten podniósł i stanął jako olbrzym mający wprawdzie dużo szczególnej pomiędzy francuzami naśladowców, ale równego żadnego. Bogactwem fantazyi przewyższa dwu poprzednio wymienionych kompozytorów, ustępuje im, choć nie wszędzie, pod względem poprawności rysunku.

Kompozycyje Kaulbacha zastanawiają, Matejki przyciągają ku sobie,—Doré porywa!

Henryk Piątkowski.



Dr. W. M. Olendzki. *Historyja nauk politycznych od w. XVI aż do najnowszych czasów. Tom I. Teoryje polityczne XVI wieku.* Poznań, nakładem J. K. Żupańskiego 1873, str: 320.

Trudno-to bardzo w ramach krótkiego sprawozdania podać całą treść leżącéj przed nami książki, wyczerpującéj na małéj stosunkowo przestrzeni ogromny historyczny i naukowy materyjał — trudniéj jeszcze rozpocząć z autorem zasadniczą lub źródłową polemikę. Nie mogąc dopełnić ani jednego, ani drugiego zadania tak, jakbym sobie życzył, postaram się tylko o pobieżne zapoznanie czytelników *Opiekuna* z tą ze wszech miar na ich baczną uwagę zasługującą publikacyją.

Jak widzimy z napisu, *Teoryje polit.* XVI wieku, są piérwszą częścią większéj całości, w któréj skład, jak autor zapowiada w przedmowie, wejdzie nauka polityczna XVII, XVIII i XIX wieku. Jeśli p. Olendzki dotrzyma obietnicy, to literatura nasza wzbogaci się szacownym dziełem fachowym, a młody autor zdobędzie sobie piękne imię—śmiemy przecież wyrazić nadzieję, że, rozporządzając niepospolitym zasobem talentu i erudycyi, zechce w następnych tomach przybrać ton więcéj naukowy i objektywny, oraz da za wygraną namiętnéj polemice, jaką w tomie piérwszym, mianowicie w części piérwszéj, rozwinął. Część ta zajmuje się przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich. Autor, zagłębiwszy się w historyją zapasów kościoła z państwem, oburzony nieumiarkowanemi zachciankami Inocentych, Grzegorzów i Aleksandrów, uderza z tak wielkim zapałem na wojujące papiestwo i takich jego sojuszników, jak np. liga lombardzka, że zdaje się, iż chwilowo zapomina o odległości epoki i sądzi ją ze stanowiska dzisiejszych pojęć. Szanowny autor wyprowadził tutaj na plac cały rynsztunek wojenny, wyliczył wszystkie możliwe argumenta, jakich mu tylko dostarczyć mogli ojcowie kościoła, apostołowie, Pseudo-Izydor, Listy Klementyńskie, Litterae Principum, subsidia diplomatica — i nieskończona ilość najróżnorodniéjszych, nieporuszonych dotąd po większéj części źródeł. Łatwo pojąć, jak z tego szalonego natarcia wyszło papiestwo i wojujący o doczesną władzę kościół — nie trudno również odgadnąć, jak na te śmiałe zaczepki odpowie ruchliwa a buńczuczna armija naszych klerykałów. Dotąd wyrzucono przeciw doktorowi Olendzkiemu z tego obozu mnóstwo kruchych komunałów i obosiecznych frazesów — na argumenta jeszcze się nie zdobyto. Krakowski *„Przegląd Polski"* posunął się nawet w głębokiéj nieznajomości rzeczy tak daleko, iż wbrew twierdzeniu autora przeczy, jakoby kwestyja nieomylności była już w wiekach średnich poruszoną przez papieży. *Przegląd polski* jako pismo prawowierne powinien przecież wiedzieć, że kwestyja ta, wedle dowodzeń samychże skrajnych katolików niemieckich, jest tak starą jak kościół, a ogłoszenie jéj tylko jako dogmat jest nowe.

Przeszedłszy do właściwego tematu, dzieli autor *Teoryje polityczne* na trzy części: 1) Teoryje i pamflety stronników reformy (reformatorzy: Sebastyjan Castalion, Teodor Beza, Franciszek Hottoman, Jan Pognet, Grzegorz Buchanan, Hubert Languet, Stefan de la Boëtie) 2) Teoryje stronnictwa katolickiego i pamflety Jezuitów (Suarez, Bellarmin, Rose, Bucher, Maryana) 3) Teoryje stronnictwa umiarkowanego (Michał de l'Hôpital, Filip de la Noue, Jan Bodin).

Ta główna część dzieła napisana jest nierówno; znać, iż utalentowany autor nie z równym zamiłowaniem i nie z równą pilnością traktował różne przedmioty. Jeżeli bowiem cały ustęp odnoszący się do reformacyi, obrobiony widocznie con amore i z piorunującą werwą, jeżeli rozdziały dotyczące Lutra, Hottomana, Zwinglego i Stefana de la Boëtie promienieją niemal zapałem, to nie możemy tego bynajmniéj powiedzieć o księdze następnéj, dotyczącéj teoryj katolickich. Prawda, że przedmiot to niezbyt zajmujący, suchy; prawda, że autor z benedyktyńską pracowitością grzebał w przenudnych folijałach, lecz i to prawda, że krytyka Suareza i Bellarmina nie jest wyczerpującą, krytyka zaś Buchera i Maryany przesycona jawną nienawiścią przeciw jezuitom i kościołowi.

Czwarta i ostatnia część książki zajmuje się teoryjami publicystów polskich (Wolan, Wereszczyński, Orzechowski, Modrzewski). Tutaj musimy autorowi zarzucić, że nie wspomniał ani słowem o ojcu publicystów polskich, Ostrorogu i takim np. ekonomiście, jakim był Grabowski—przyznać jednak trzeba, że poza obrębem téj niedokładności inni wyliczeni pisarze, zwłaszcza Orzechowski, ocenieni gruntownie i wyczerpująco. W rozbiory swoje, którym kaustyczności zaprzeczyć niepodobna, wsuwa autor ogólne uwagi, świadczące o bystrym jego poglądzie na historyją i niepodległości zdania, o co dziś tak trudno. Nie mogąc się wdawać w cytaty, powiemy tylko, iż wiele poglądów d-ra O., uderza oryginalnością że jedynie wspomnimy o teoryi stronnictw politycznych wogóle, wyprowadzonéj ze stanowiska prawno-politycznego (patrz str. 115—121) i o uwagach odnoszących się do obecnego ustroju społeczeństwa naszego, (str. 249 i 309).

Na jakim stanowisku stoi autor *Teoryj politycznych*? zapytacie. Trudna zaiste odpowiedź! Pan Olendzki hołduje zasadom postępowym, to widoczne — a jednak przez ciąg dzieła jego ciągnie się jakby nić czerwona, tendencyja na wskróś arystokratyczna. Właściwe stanowisko autora określą zapewne najlepiéj jego własne słowa, które znajdujemy na str. 56: „Hottoman, prawnik i publicysta z XVI wieku, jest z głębokiego poczucia zasady arystokratą; stanowisko jego jednak nie jest tym samym, jakie zniszczona ówczesna arystokracyja zajmowała, nie jest również bezmyślnym arogantem lub powolnym sługą bezprawia—bynajmniéj, stanowisko Hottomana da się raczéj porównać z arysto-demokratycznym torysem, wyszlachetnionym codziennie *ożywotnianą* rzeczywistéj arystokracyi rzeczywistą zasadą: nobilitas obligat. Panowanie arystokracyi jest celem Hottomana zabiegów, *państwo bowiem trwa tylko mocą rozumu i czynów arystokratycznych.*" Jak widzimy, p. Olendzki chce być postępowym arystokratą.

Prócz kilku pomniejszych sprawozdań w dziennikach poznańskich i galicyjskich, czytaliśmy obszerną i pochlebną krytykę pracy p. Ol., pióra Karola Libelta w *Dzienniku Poznańskim*—a nadto, co dla autora niezwykłym jest zaszczytem, referowały o niéj w wyrazach pełnych uznania: *Magazin für die Literatur des Auslandes* — *Archivo storico* i *Rivista Europea.* Ostatnia domaga się, aby dzieło p. Olendzkiego, po zupełnym wykończeniu, ukazało się w przekładzie włoskim.

Dołączając do tych pochwał i skromny głos nasz, wypowiadamy w końcu nie dla zwyczaju, lecz ze szczerego przekonania zdanie, że w osobie d-ra Olendzkiego zyskuje literatura nasza znakomitą siłę, która bodajby zaniedbaną u nas niwę historyjozoficznych studyjów wzbogacała jak najobfitszym plonem swych pracowitych i umiejętnych badań. *K. K.*

ZAGADNIENIE.

W komorze napełnionéj powietrzem t: j: mieszaniną 1 części tlenu i 4 części azotu i mającéj $1\frac{2}{3}$ sążnia wysokości, $3\frac{1}{2}$ sąż. długości i $2\frac{2}{3}$ sąż. szerokości osadzono zwierzę, które w sekundzie zużywa $\frac{1}{10}$ stopy sześciennéj tlenu. Pytanie w jakim czasie zwierzę zużyćby mogło wszystek tlen (a więc i koniecznie umrzeć), gdyby komora była tak szczelnie zamknięta, żeby zewnętrzne powietrze wejść do niéj nie mogło?

Sprostowanie.

W N-rze 3-cim *w artykule o Widokach familijnych* w 2gim łamie w. 12 zamiast *dwu wspólników i jakiegoś Romana, hr. Denhofa.....*" powinno być: *dwu współzawodników: jakiegoś Romana i hr. Denhofa.....*"

☞ Do Nr. 5-go dołącza się **Karta tytułowa** i **spis artykułów** za r. 1872.

Дозволено Цензурою. — W drukarni Jana Jaworskiego. Warszawa, Krakowskie-Przedmieście. Nr. 415.

Wydawcy: HENRYK PERZYŃSKI. WACŁAW SZANIAWSKI.

Redaktor, HENRYK PERZYŃSKI.